

I miejsce w II Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Płynąć pod Prąd”
dla Magdaleny Ratajczak
z Gimnazjum nr 19 im. Z Herberta we Wrocławiu
za pracę pt. „Prababcia z karabinem Honoru”
w kategorii gimnazjum – proza

Prababcia z karabinem Honoru

Łatwo jest mówić, co można by zrobić, aby było lepiej. Co trzeba było zrobić. Dobrze się krytykuje, oskarża o inercję. Głosi swoje poglądy, gdy zna się przebieg całej sytuacji... Albo nie ma się bladego pojęcia, bo dowiaduje się o niej tylko z zapisanych kart ciężkich woluminów i mądrych słów arbitrów historii. Słowa są puste, nieważne, nie potrafią sprostać zadaniu, jakim jest życie. Albo raczej przeżycie, bo istniał taki okres, kiedy o wolności i indywidualizmie mowy nie było. Kiedy wszystkich wpychano do jednej wielkiej rzeki, rzeki dla śmieci i szlamu, nie dla ludzi, w której nurt był tylko jeden, pod dyktando dyktatorów stojących na brzegu – i nie dało się zawrócić. Teraz łatwo jest mówić, przecież trzeba było zrobić inaczej, ale wtedy mało kto odważał się sprzeciwić. Płynąć pod prąd. Zbigniew Herbert okazał się buntownikiem swoich czasów, walczył o człowieka, o jego prawo do bytu, o wolność. Nienawidził oszustów i kłamców, gardził tymi, którzy wymawiali się od wykonania postawionych przed nimi trudności, nazywał ich mianem, na które zasłużyli – tchórzami. To w swoich wierszach wyszydzał głupotę, a odwagę i miłość stawiał na piedestale, czego przykładem jest „Przesłanie Pana Cogito” – przesłanie samego Herberta. Ale nie tylko on umiłował Prawdę. Zrobili to także ci, o których teraz już nikt nie pamięta, cisi bohaterowie, wykonujący czyny czasem heroiczne, ale niedoceniane.

Tak być nie powinno.

Zimno jest. Nie tylko od wiatru, chłoszczącego cię po twarzy, odmrażającego nos i policzki, podstępem wpełzającego za kołnierz. Spływającego zimnym dreszczem po plecach. Ale nie tylko dlatego drżysz, to twoja dusza widzi to, czego nie chcą ujrzeć oczy. I tylko serce, gorejące serce, nie pozwala ci się zatrzymać, pcha cię wciąż do przodu, dalej, do walki.

Masz mało czasu. Trzeba dać świadectwo.

Śnieg jest biały, czysty, nieskazitelny. Nienaruszony. Tylko tam, pod murem, czerwieni się krwią niewinnych. Jeszcze wczoraj leżało tam piętnaście trupów, pustych, martwych, bezwładnych, niczym szmaciane laleczki w rękach okrutnego mistrza. Zemsta za śmierć dwóch Niemców z rąk partyzantów. Oprawcy dobrze odegrali swoje przedstawienie, choć bez ustalonych teksów, jak w komedii dell'arte. Oni jednak doskonale znali swoje role, zbyt perfekcyjnie, aby się pomylić. Widziałaś, jak w środku nocy wrywają z łóżek mężów, ojców, synów, i tylko silny uścisk Ignaca nie pozwolił ci biec na pomoc. Słyszałaś piętnaście strzałów przecinających nocną ciszę, odgłos jakby zrzucanego worka, szybkie kroki, a potem już tylko zawodzący szloch żon i dzieci. Teraz wdów i sierot. Niemcy utworzyli kolejną ścianę płaczu, w której jednak nie było już miejsca na karteczki z prośbami do Boga.

I nie przebaczaj. Zaiste nie w twojej mocy przebaczać.

- Zróbcie coś – mówisz na kolejnym spotkaniu dowódców oddziałów partyzanckich, urządzanych potajemnie w twoim domu. – Pozabijają nas wszystkich.

- Niby co mamy zrobić? – pyta jeden z dowódców. – Może mamy nie likwidować tych hitlerowskich świń? Niech żyją i wodę piją?

- Nie. Ale za tę jedną świnię ginie pięciu ludzi.

Wychodzisz na dwór, wcześniej przykazując synom przypilnować małej Zosi. Przechodzisz przez podwórko na Podłęczną, aby tam obserwować, czy nie idą Niemcy. Musisz uważać na przypadkowe patrole, jest grubo po godzinie policyjnej. Ignac robi to samo od frontu, na Częstochowskiej.

Bądź wierny.

Tylko ty. Tylko ty w Raciszynie i Działoszynie pomagasz partyzantom. Inni za bardzo się boją, wolą żyć pod niemieckie dyktando. Jednak, czy żyją? Ty nie możesz znieść bezsilności, musisz działać. Wolisz ryzykować życie, aby tylko było lepiej. Może nie tobie. Ale by twoje wnuki nie musiały pytać, co to jest wolność, mamo.

Musisz walczyć. Chcesz.

Co niedzielę ładujesz na wóz worki pełne mięsa i kielbas, chowasz pod siedzeniem, przykrywasz sianem. Jedziesz do kościoła w Trębaczewie. Droga wiedzie przez las, to tam się zatrzymujesz, pospiesznie wymieniasz informacje z dowódcą, podczas gdy partyzanci zabierają worki i znikają za drzewami. Wszystko dzieje się bardzo szybko, rozglądasz się, czy nie widać wroga. Nie możesz zginąć. Jeszcze nie.

Trudno jest zdobyć jedzenie dla partyzantów, mimo że prowadzisz masarnię. Niemcy roszczą sobie prawa do twojego towaru, tak jakby im się należało. Wpadają często, niezapowiedzianie, ogałcają lady z wędlin. Musisz dobrze ukrywać to, co chcesz zachować.

Wracasz z Trębaczewa. Od progu spada na ciebie straszna wiadomość: esesmani zabrali twoich braci, Józka i Ignaca. Mąż się uratował, ale natychmiast wyjechał do Łodzi, tam, gdzie go nie znajdują. Szalejesz z rozpaczy, nie wiesz, co masz robić, pytasz, nikt nic nie wie. Nikt nie chce wiedzieć.

Dopiero kilka miesięcy później docierają do ciebie informacje o losie braci. Przez pierwszy miesiąc trzymano ich w Wilnie, próbując wyciągnąć swoimi sposobami informacje o partyzantach. Ale oni są tacy jak ty – najważniejszy jest honor. Tchórzostwem byłaby zdrada. Za umiłowanie prawdy trafili do obozów koncentracyjnych, Józek do Dachau, Ignac do Gross Rosen. Potem wiadomość: Józek nie żyje. Nie pozwolisz, aby to samo spotkało Ignaca. Decydujesz się na najodważniejszą, a zarazem najgłupszą rzecz w swoim życiu.

Bądź odważny. W ostatecznym rachunku jedynie to się liczy.

- Nie zrobisz tego – mówi twoja przyjaciółka, gdy wyjawiasz jej swoje plany. – Zabiją cię, zanim tam dotrzesz.

Ty jednak wolisz zginąć, niż żyć ze świadomością, że nie zrobiłaś wszystkiego, co w twojej mocy. Zawsze tak było. Nie wycofujesz się z raz obranej drogi.

Wstań i idź. Dopóki krew obraca w piersiach twoją ciemną gwiazdę.

Następnego dnia siedzisz już w pociągu, trzymając na kolanach paczkę żywnościową dla brata. Wokół prawie sami Niemcy z godłem hakenkreuz na piersiach. Może sześciu zwykłych pasażerów, wystraszonych i bladych, którzy wysiadają na przedostatniej stacji. Mało kto chce dojechać do końca. Mało kto chce trafić do piekła.

Ostatnia stacja jest jedną z najdłuższych, wystarczająco długą, aby żałować swojego wyboru. Niemcy cię zauważyli, od razu się przysiedli, pytają, czemu nie wysiadłaś, chętnie się zaopiekują. Cała drżysz, odpowiadając im w najczystszej niemczyźnie, zdajesz sobie sprawę, że mogą z tobą zrobić to, co im się tylko podoba. Stacja jest naprawdę wystarczająco długa. Na szczęście, są bardzo niscy rangą. Oddychasz z ulgą.

Wysiadasz. Przed tobą wyrasta góra, wokół pola i lasy. To tam znajduje się KL Gross Rosen. Ukryty pomiędzy wzgórzami, tak, aby miejscowi ludzie nie widzieli, co się tam dzieje. Aby ukryć przed nimi prawdę.

Z duszą na ramieniu zbliżasz się do bramy głównej. Jednak to nie tam jest twój cel, do środka prawdopodobnie by cię nie wpuścili. Ryzykujesz, podchodząc tak blisko. Narazasz życie, będąc Polką. W momencie, gdy zbliżasz się do dyżurki, rozpoczyna się twój spektakl. Już nie jesteś sobą, zamieniasz się w aktora, mistrza tragedii. Teraz stajesz się jednym z nich, ich język twoim językiem, ich słowa twoimi. Przedstawiasz się jako rodowita Niemka, jesteś piękna i młoda, tak pewna w tym, co mówisz, że żołnierzom nawet nie przyjdzie do głowy sprawdzić, czy nie kłamiesz. Tylko w ten sposób, z perfidną odwagą, możesz coś zyskać. Dajesz im do zrozumienia, że twój mąż jest wysoko postawionym oficerem, a paczka, którą chcesz zostawić, przeznaczona jest dla kuzyna. Wiesz, że muszą ją sprawdzić, ale chcesz mieć pewność, że ją przekażą. Żołnierze nie protestują. Nie mogą stracić pozycji.

Odchodzisz. Nagle słyszysz dźwięk otwieranych drzwi. I dostrzegasz obraz, którego wolałabyś nie pamiętać. Z budynku głównego wychodzi trzech strażników. Pomiędzy nimi cień człowieka, nagi, skrępowany powrozami, zakrwawiony. Ciągną go brutalnie po ziemi. Gotujesz się z wściekłości, a nie możesz nic zrobić. Musisz żyć. I nie dziwisz się już, dlaczego Gross Rosen znajduje się pomiędzy wzgórzami. Może naprawdę lepiej dla ludzi, aby pewnych rzeczy nie widzieli.

Wiktoria Chmielarska, urodzona w 1907 roku, zmarła osiemdziesiąt dwa lata później po długiej walce z nowotworem we wrocławskim szpitalu. Odeszła jako cicha bohaterka, bez honorów, bez orderów, trzymając wiedzę o swoich czynach w sercu i pamięci bliskich. Szpitalne łóżko zrobiło się nagle puste, pościel świeżo wyprana, niezmacona ruchem układającego się ciała. To dziwne – był człowiek, nie ma człowieka. Tak, jakby nigdy nie istniał.

Nie jestem w stanie ocenić czynów mojej prababci. Nie śmiałabym tego zrobić. Są zbyt wielkie, zbyt mądre, za bardzo pełne poświęcenia i heroizmu, aby przyszło mi się o nich

wypowiadać. Jedyne, co mogę stwierdzić: żałuję, że nie znałam mojej prababci. Żałuję, że inni też jej nie znali.

Dla mnie prababcia Wiktoria, nomen omen, zawsze pozostanie wielkim człowiekiem, który nie poddaje się bezsilności, walczy w imię wybranych ideałów: honoru, ojczyzny i prawdy, a nade wszystko w imię rzeczy najdroższej – życia człowieka.

Bo Wiktoria znaczy Zwycięstwo.

Załączniki:



Wiktoria Chmielarska 1979 r.



Od lewej: Wiktoria Chmielarska z wnukami Kamilą i Jarosławem Jawny, oraz córką Zofią Jawny.



Wiktoria Chmielarska (pierwsza po prawej) ze znajomymi